

KULTURA



POMYLONE ŻYCIA

AGNIESZKA GLIŃSKA, REŻYSERKA:

Nie ma znaczenia, czy jest się potomkiem kata, czy ofiary.
Bo tabu, wata niewiedzy, w której żyje się latami,
w identyczny sposób odkłada się w psychice.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Jaki to moment w Twoim reżyserskim życiu?

AGNIESZKA GLIŃSKA: Dziwny. W nie-reżyserskim też. Namnożyło mi się pytań i wątpliwości. Co, po co, o czym, dla kogo, jak, żeby miało jakikolwiek sens. Bo w tym bałaganie dziś najważniejsze jest poczucie sensu i nadzieja, i chciałabym reżyserować tylko wtedy, gdy będę miała pewność, że umiem to podarować. Poczucie odpowiedzialności za to, co na scenie, też mi urosło proporcjonalnie do wieku, no to się zatrzymałam. To znaczy wyhamuję. Z dużej prędkości, więc długa ta droga hamowania.

Reżyserce wystarcza uczenie studentów na krakowskiej AST?

Lubię tę uczelnię, lubię jej atmosferę, pięknych ludzi, których tam spotykam. Uczenie daje mi dużo satysfakcji i mało stresu, więc to pożywny pokarm dla duszy. Ale w ogóle nie rozpatruję życia w kategoriach: czy mi wystarcza, czy nie.

A Kraków? To Twoje miejsce do życia? Właściwie tu zamieszkałaś.

Na obecnym etapie życia dużo mnie z tym miastem łączy. Zawodowo i podprogowo, mentalnie. Nie czuję się tu jak przyjezdna, nie umiem spojrzeć na Kraków z perspektywy Warszawy, bo nie jestem z Warszawy. Jest taka piękna opowieść Dorna w „Mewie” Czechowa o Genui, że „kiedy wieczorem wychodzi się z hotelu, cała ulica jest zatłoczona. Przemieszczasz się potem wśród tłumu bez celu, tu i tam, po linii łamanej, żyjesz z tłumem, stapiasz się z nim psychicznie i zaczynasz wierzyć, że w zasadzie możliwa jest jedna światowa dusza, w rodzaju tej, którą kiedyś w pana sztuce grała Nina Zarieczna”. No to ja tak się czuję w Krakowie. I mam tu rower i swoje rowerowe trajektorie, jestem

tak trochę od środka, trochę z zewnątrz. Na razie.

Stąd pochodzi Twoja prababcia – Pepi Weiss. Pojawia się w spektaklu „Z biegiem lat, z biegiem dni”, który wyreżyserowałaś w Teatrze im. Słowackiego. Nie zdążyłaś jej poznać, ale opowiedz o kobietach, które otaczały Cię w dzieciństwie

Zarobione po uszy, dzielne, oddające swoje życie innym. Mama prowadziła dom i pracowała w szpitalu dziecięcym w rentgenie. Kończyła pracę i biegiem zakupy, obiad, kolacja, pranie, sprzątanie. Dopiero jak z siostrą dorosłyśmy, przeszła na emeryturę, zaczęła mieć jakieś chwile dla siebie.

Typowe dla pokolenia naszych matek.

Miałam blisko obie babcie. Z tą ze strony mamy byłam silnie związana; gdy się urodziłam, rodzice mieli niewiele ponad 18 lat, podrzucali mnie często do dziadków.

Babcia Jasia, mama mamy, niewiele opowiadała o swojej wojennej historii, o wywiezieniu na roboty. Wiem, że we wczesnych latach 40. uciekła z fabryki broni. Trafiła do wiejskiej posiadłości państwa-baronostwa – pracowała jako pokojówka. Ci ludzie byli antyhitlerowcami, u nich spędziła prawie całą wojnę i świetnie nauczyła się języka, z którego potem nigdy nie zrobiła użytku. Jako nastolatka ze zdumieniem odkryłam, że babcia perfekcyjnie mówi po niemiecku. A potem, w 1945 r., spotkała dziadka, który jak i ona z robót wracał do Polski. Oboje pochodzili z okolic Krakowa, lecz osiedlili się we Wrocławiu. Dziadek był robotnikiem w Hutmenie, ona urodziła czwórkę dzieci, więc dom, praca, potem choroby: cukrzyca, reumatyzm... Była ciepła i pogodna. Ogromnie dużo czytała. Nawet jak miała słaby wzrok, brała lupę, nieustępliwie. Gdy odwiedziłam ją ostatni raz przed śmiercią, pytała: po co to życie całe?

A babcia od strony taty?

Babcia Kasia. Mieszkała z nami, a właściwie my z nią. Zapisła się w mojej pamięci jako skryta, cicha, dobra i pobożna. Nic nie opowiadała o przeszłości. Ani jednego słowa. Pochodziła ze wsi niedaleko Gorlic. Była jedyną i najmłodszą siostrą wśród braci, którzy nie po-

zwolili się jej edukować, chcieli, by została na roli. Rodzice ich osierocili wcześniej, chyba z powodu epidemii. Uciekła stamtąd, chciała się kształcić. W Krynicy pracowała w jakiejś kawiarni i została ściągnięta do Krakowa – przez ponad 10 lat, do 1939 r., pracowała jako pomoc domowa u Natana i Pepi Weissów. Uratowała przed Zagładą ich syna Ludwika, który, jak wybuchła wojna, był dwudziestolatkiem, w każdym razie sporo od niej młodszym. Wynajdywała dla niego mieszkania, w których się ukrywał, przewoziła z miejsca na miejsce. Ryzykowała każdego dnia, była heroiczna. Z końcem wojny pobrali się. Jak bardzo była odważna, dzielna i silna, przeczytałam dopiero w Yad Vashem; dziadek w latach 90. złożył tam dokumenty. W ubiegłym roku babcia Kasia została pośmiertnie odznaczona.

Parę dni temu tata wysłał mi zdjęcie grobu babci na cmentarzu we Wrocławiu, gdzie od niedawna widnieje napis: „Sprawiedliwa wśród Narodów Świata”.

Twój tata coś wiedział o ich historii?

Coś tam wiedział, więcej nie wiedział, w domu nie było tematu. To było wyparte, stłumione, z poczuciem, że nawet jeśli coś przeczuwamy, to się o tym nie mówi głośno, bo dla wszystkich ocalałych jest to zbyt bolesne i niebezpieczne. Dziś myślę z czułością o tym, jak wiele musiał udźwignąć mój tato w dzieciństwie – milczenie rodziców o wojnie i ten podły stalinowski czas. Pokolenie moich rodziców to prawdziwi herosi.

A prababcia Pepi Weiss, urodzona w 1889 r.?

Pepi z domu Wettstein zmieniła swoją datę urodzenia na 1893 rok, odmłodziła się, one wszystkie tak wtedy robiły, to było ich „spa”. Teraz chodzę po Krakowie jej śladami, coraz więcej o niej wiem. Miała trójkę rodzeństwa, mieszkali przy Miodowej 2. Jej mama, Rozalia Rachela, pochodziła z Süsserów, licznej, mocno rozgałęzionej rodziny, która wybudowała sporo kamienic na Krakowskiej. Była tam też, nieistniejąca dziś, synagoga Lejba Süssera. Tato Pepi, Jakub, miał na Bożego Ciała koszerną rzeźnię. Kiedy pracowałam nad „Z biegiem lat...”, całkowicie weszłam w jej losy. I tak Pepi przeciągnęła mnie na drugą stronę.

Czyli?

→

AGNIESZKA GLIŃSKA (ur. 1968)

jest reżyserką teatralną i aktorką. W 2017 r. w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie wystawiła „Z biegiem lat, z biegiem dni (gdzie jest Pepi)”, luźną wariację na temat spektaklu Andrzeja Wajdy sprzed blisko 40 lat według scenariusza Joanny Olczak-Ronikier, a w marcu 2019 r. w Starym Teatrze „Panny z Wilka” według opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza.

⇒ No wiesz, popadłam w rodzaj obłądu. Śledziłam, tropiłam, szperałam w archiwach, każdy drobiazg, najmniejszy szczegół był zaczynem kolejnej wyprawy w ich świat, w życie, które próbowałam zrekonstruować praktycznie z niczego. Weszłam w tunel czasu – w jakiś kontakt z tymi duchami, jakkolwiek to brzmi. Łącznikiem była właśnie moja prababcia. Pepi z matką, mężem, siostrą i jej rodziną poszła do getta krakowskiego. Pepi i Natan trafili potem do Płaszowa. Matka, Rozalia Rachela, zginęła w akcji czerwcowej w getcie, wyrzucona z balkonu czy zastrzelona, są dwie wersje. Siostra Gucia z mężem Mordechajem i z dwójką malutkich synków w akcji październikowej zostali wywiezieni do Bełżca i tam zamordowani. Ignacy, brat Pepi, nie był w getcie, żył na aryjskich papierach, w 1942 r. został rozpoznany w pociągu i zastrzelony. Najmłodszy brat, Henryk, zmarł jeszcze przed wojną, coś się wdało po operacji wyrostka, miał trzydzieści parę lat.

No a w Płaszowie, w sierpniu 1943 r., jak mówią dokumenty, mojego pradziadka Natana zastrzelił Untersturmführer Leonhard John, a Pepi kilka miesięcy później została wywieziona z transportem kobiet do obozu pracy w Skarżysku-Kamiennej.

Jako siłę roboczą wykorzystywano tam Żydów. Przeciętny dzienny wymiar czasu pracy wynosił od 12 do 14 godzin. Produkowano pociski. Kontakt z chemią powodował dotkliwe podrażnienia skóry, oczu, dróg oddechowych, objawami były skurcze serca, wymioty, poparzenia.

W tej fabryce broni ludzie umierali masowo, przy pracy lub zakatowani przez nadzorujących, bez jedzenia, bez ubrań. Cały czas przychodziły nowe transporty. Zachowały się dwa liściki od Pepi, które jakiś dobry człowiek przekazywał na krakowski adres i trafiły w ręce mojego dziadka. Pepi błagała syna o leki i coś ciepłego, jakiś płaszcz lub koc (*milczenie*). Te listy były pisane kopiowym ołówkiem na skrawku papieru. Pepi mówi wprost, że jeśli jej nie pomogą, to umrze. Miała świadomość zbliżającego się końca (*milczenie*). I w chwilę później, od tego człowieka, który przekazywał listy, przyszła informacja, by nic już do Pepi nie wysyłać, bo zmarła na tyfus. Prababcia miała wtedy lat 50 (*milczenie*).



Pepi Weiss, ok. 1894 r.

Sądzę, że zamarzła, właściwie wiem to. Ten transport z Płaszowa przyjechał w listopadzie, nie żyła już w styczniu.

Odważę się to powiedzieć: Pepi Weiss w chwili śmierci miała tyle lat, co Ty teraz.

Ten fakt dał mi sporo do myślenia. Wiesz, wśród tych niewielu rzeczy, które ocalały z dziadkiem, są zdjęcia, a wśród nich fotografia przepięknej dziewczyny. Na odwrocie jest napisane, że to Ida Elbinger. Zaczęłam tej Idy szukać. Z dziadka zapisków wynika, że przed wojną była dziewczyną jego najbliższego przyjaciela, Staszka Frenkla, malarza, który wyjechał do Londynu i tam zrobił karierę. Jak zaczęła się wojna, stała się wielką, odwzajemnioną miłością Leo Lipskiego.

Pracuję w Krakowie, trafiła mi się ostatniej zimy okazja, by tanio wynająć mieszkanie przy ulicy Miodowej. Urządziłam się w nim, a po paru miesiącach odkryłam, że Ida Elbinger mieszkała nie tylko przy tej samej ulicy, ale także w tej samej kamienicy, pod tym samym numerem.

Wiem teraz, że chcę i muszę zaopiekować się Idą, dowiedzieć się czegoś więcej niż to, że jej uroda olśniewała, a dla artystów stawała się muzą.

Co łączyło dziadka z Idą?

Dziadek miał osobliwy sposób wchodzenia w relacje z kobietami, uzależniony był od ich uwagi. Miał kilka życ; pod koniec wojny związał się z moją babcią, potem ją zostawił z czwórką dzieci, w tym

mojego tatę, i założył drugą rodzinę, a potem jeszcze jedną... Nieprzerwanie grał w taką grę „nowy los”, jakby instynktownie czuł, że po tym wszystkim, co przeszedł, należy mu się jeszcze jedno życie, i jeszcze jedno... Wchodził na kolejny level. Umieranie, finał, zmierzch, wyczerpanie – to były sprawy, przed którymi wiecznie uciekał.

Jaki miałaś kontakt z dziadkiem?

Skąpy i bardzo tego żałuję – w rodzinie nie miał zbyt dobrej renomy, funkcjonował jako birbant, który zostawił babcię z czwórką dzieci. Ale sama babcia miała z nim nieprawdopodobną więź, ponad zwykłymi ludzkimi przyziemnymi sprawami. W ich relacji musiało się splatać tyle płaszczyzn – ona była dla niego i wybawicielką, i matką, i kochanką, i żoną, i opiekunką. Nigdy nie stracili kontaktu, dziadek do babci przychodził regularnie, będąc już w innych związkach. Odwiedzał, zaglądał znienacka. Babcia siadała z nim w kuchni, robiła mu herbatkę, wysłuchiwała, doradzała. Dziadek wpadał zawsze na Wigilię, by pokazać się na jej początku, był jak meteor. Brak mi go. Miał polot i wdzięk. To, co ich łączyło, było większe niż miłość czy przywiązanie – taki węzeł.

Na śmierć i życie?

Na każdy ich moment. Dziadek Ludwik zmarł osiemnaście lat temu, babcia Kasia długo przed nim, jeszcze gdy byłam w maturalnej klasie. A ja dopiero teraz ich poznaję. I wciąż o nich myślę. O tym, jak to jest, zawdzięczać komuś ocalenie i potem próbować razem żyć. Jestem kwintesencją splotu losów polsko-żydowskich. A jedyne, co mam po nich, to lornetkę teatralną, która należała do prababki.

Wykorzystałaś ją jako rekwizyt w „Z biegiem lat, z biegiem dni”.

Spektakl tej historii nie pomieścił, nie mógł pomieścić. Powstawał na bieżąco z moimi poszukiwaniami i odkryciami, w takim rozedrganiu. Operacja na żywym organizmie, egzaltacja i wielkie emocje. Teraz mam więcej dystansu i wiedzy. Zrobiłam w międzyczasie podyplomowe studia polsko-żydowskie w IBL-u. Poznałam setki podobnych historii; każda jest wyjątkowa.

A ta lornetka była w szufladzie biurka dziadka, zamkniętej przez lata na klucz. Mogłam tam zajrzeć dzięki uprzejmości i życzliwości ostatniej żony dziadka.

Co jeszcze było w szufladzie?

Szpargały, jak to w szufladzie. Korepondencje, zapiski, notatki. Jakies próby literackie, wycinki, karteczki, świstki. Strzępy pamięci... Stojaczek na ołówek, kieliszek – pamiątka z Breslau z 1912 r. Takie właściwie nic a wszystko. Artefakty, które mają swoje życie.

I które są pożywką dla Twojej wyobraźni.

A jaka moc jest w zdjęciach! Widzi się na nich ludzi i kontekst: ubiór, bibliotekę, ulicę. Znam imiona i nazwiska większości osób z tych ocalałych fotografii, rodziny bliższej i dalszej, znajomych. Wyszukałam ich adresy, wiem, które okna do nich należały, sprawdzam, czym się zajmowali, jak zginęli. Próbuję dowiedzieć się, jak żyli, zanim ich istnienie wymazano gumką myszką.

Biografię prababci budowałam z wyrazu jej twarzy na różnych zdjęciach, w różnych okolicznościach i przejmując smutnych oczu. Pepi była niespełniona na wielu poziomach, życie ją rozczarowało. Przypuszczam, że stąd wziął się teatr. I stąd się wzięła ta lornetka, była stałą bywalczynią Teatru Słowackiego.

Moment! Powiedziałaś, że teatr bierze się z niespełnienia. Jak to?

No tak: daje on coś, czego nie daje życie (*milczenie*). Pepi była bardzo samotna. Nie miała zawodu. Jej mąż był adwokatem, na całe dnie znikał w kancelarii, prowadził jeszcze drugą kancelarię w Skawinie. Żył pracą, a ona była zazdrosna o mundantki.

Adwokackie sekretarki.

Raczej nie byli zgodnym małżeństwem. Pepi chorowała na wrzody żołądka, piła mleko migdałowe, leczyła się u doktora Wysockiego i jeździła do wód. Niewiele miała przyjaciół.

Gucia, jej młodsza siostra, ma na fotografiach zupełnie inną energię. Jest pogodzona z życiem, bije od niej jasność, otwartość. A w Pepi jest mrok i melancholia.

Zastanawiałaś się, kim byłaby Pepi, gdyby przeżyła wojnę?

Powiem coś ryzykownego, co mnie samą boli: ona chyba nie była skazana na przetrwanie. Miała krótkie, pomyłone życie i prędką śmierć. Na jej twarzy malowała się rezygnacja. Choć udało się jej przeżyć getto. Nie wiem jakim kosztem.



Katarzyna Glińska z domu Martuszevska, Kraków 1920 r.

Do tego getta poszli z woli pradziadka Natana, który uważał, że nie wolno przeciwstawiać się prawu, a od narodu z taką kulturą i historią jak Niemcy nie należy spodziewać się niczego złego.

Wtedy częste przekonanie.

Jego syn Ludwik, czyli mój dziadek, miał już zupełnie inne przekonanie. Przed wojną przez dwa lata studiował prawo na UJ, gdzie doświadczył bojówek oraz getta ławkowego. Miał wyobraźnię, czytał gazety i od początku wiedział, że do getta nie pójdzie. Został po aryjskiej stronie. Zmienił nazwisko. I to moja dzielna babcia Kasia, wtedy ich służąca, załatwiła mu fałszywą kenkartę.

Chodzę dziś po Krakowie, jakby te lata nie minęły, wciąż penetruję te zakamarki i podwórka. Składałam puzzle z ich historii.

Ta historia po prostu na Ciebie czekała.

Po jej odkryciu wreszcie zaczęłam swoje życie. Jakbym sama wyszła z jakiegoś kanału, z ukrycia, na światło dzienne. Przekroczyłam granicę presji niemowienia, która wchodzi bardzo głęboko w organizm, nawet jeśli nie ma się pojęcia, czego ona dotyczy. Coś nie gra, ale nie wiesz co. Czytam teraz „Mój dziadek by mnie zastrzelił”, wspomnienia Jennifer Teege, wnuczki Amona Götha, komendanta obozu w Płaszowie, likwidatora gett w Krakowie i Tarnowie, powieszono go w 1946 r. Jennifer jest córką Niemki i Nigeryjczyka. Wychowywała się w rodzinie zastępczej, studiowała w Izraelu.

Dopiero przed czterdziestką dowiedziała się, że jest wnuczką Götha. I wiesz, co jest najbardziej zdumiewające? To, że tak naprawdę nie ma znaczenia, czy jest

się potomkiem kata, czy ofiary. Bo tabu, wata niewiedzy, w której żyje się latami, identycznie odkłada się w psychice.

Rozumiesz to?

Próbuję.

To, czy jesteś wnukiem kata, czy ofiary, czy twój przodek upadł, czy był upadłany, wstyd niemowienia, w takim samym natężeniu zatruwa kolejne pokolenia. Tak samo przedzieraś się przez zasieki z mgły i niejasności. To jest pytanie, które mnie wciąż zajmuje: ile wojny jest w nas?

Gdy poznałam swoich przodków, poczułam, że już nie ma we mnie lęku. Bo on – stały i pierwotny – był wcześniej gruntem, bazą mojego życia. I nie mówię o strachu o życie – od dziecka byłam blisko śmierci.

O tym lęku powiedz więcej.

Jest on kulą w środku, od której się wszystko zaczyna: myślenie, działanie, czucie ludzi i w ogóle świata. To rodzaj zaburzenia, które spowodowało, że życie kosztowało mnie dziesięciokrotnie więcej, niż powinno kosztować. A teraz ten lęk został wyłuszczonekowany.

I?

Ogromna ulga. Odzyskanie siebie dla siebie. No i mam Kraków – zawsze wiedziałam, że jest mój, a nie miałam pojęcia, z jakiego powodu. To moje rodzinne miasto.

A wytłumaczysz tę Twoją bliskość ze śmiercią?

Na wszystkie wakacje w dzieciństwie jeździłam do Brzeska, tam mieszkała prababcia ze strony mamy. Prababcia była bardzo bogobojna, w kościele była rano i wieczorem, chodziłam z nią na wszystkie msze i nabożeństwa. A w ciągu dnia szła na cmentarz, gdzie leżał jej mąż zmarły przed wielu laty. Kiedy siedziała przy jego grobie, modliła się, pielęgnowała kwiatki, to ja sobie hasałam po tym cmentarzu, znałam każdy jego najmniejszy zakątek, w tym kwaterę przeznaczoną dla dzieci. Czytałam, że Anusia żyła 2 lata, a roczny Juruś powiększył grono aniołków... Na większości grobów były zdjęcia, często wierszyki, których uczyłam się na pamięć.

Pamiętam też, jak w rodzinie w Brzesku urodziło się dziecko i po dwóch tygodniach zmarło na łódeczkową śmierć. ➔

⇒ W nocy jego rodzice pukali do prababci, bo wiedzieli, że u niej zawsze jest woda święcona. Potem był pogrzeb i ktoś wpadł na pomysł, by to dzieci niosły białą trumienkę. No i niosłam tę trumienkę w kondukcje razem z trójką małych kuzynów. Takie doświadczenie nie powoduje traumy, tylko zmienia perspektywę: można się urodzić i zaraz umrzeć, ta wiedza jest we mnie, odkąd pamiętam. Nie mam w sobie lęku przed śmiercią, raczej mam lęk przed życiem. Teraz zdecydowanie mniejszy.

Mniejszy, bo wiesz, jacy ludzie za Tobą stoją?

Wiem, czyje losy mnie ulepiły. I jeszcze wiem, że pomyłone życia zdarzają się nie tylko z powodu wojny. Mój dziadek poszedł na prawo, bo mu ojciec kazał. A wojna dziadka z tego musu wyzwoliła i został tym, kim chciał: inżynierem. Przed '39 nie miał nawet co o tym marzyć – na AGH nie było miejsc dla żydowskich studentów.

Moje życie też jest pomyłone, jeśli chodzi o wybór zawodu. Przez dzieciństwo i dorastanie żyłam w przekonaniu, że będę lekarzem, i dopiero w maturalnej klasie, popchnięta irracjonalną siłą młodości, postanowiłam zdawać do szkoły teatralnej. Jeszcze dziesięć lat temu próbowałam być z tym niepokodzona i myślałam, by zdawać na medycynę, nawet zaczęłam się do tego przygotowywać. Znajomy pan profesor bardzo mnie wspierał, ale polegåm na tym, że musiałabym na nowo przerebnić chemię, co by mi zajęło z pół roku. Nie mogłam sobie zrobić w pracy półrocznej przerwy, muszę zarabiać na życie.

A reżyserowanie jest dla Ciebie ważne?

W byciu reżyserem jest mi trudno, coraz trudniej. Może przede wszystkim dlatego, że nie mam podstawowej kwalifikacji. By być twórcą, trzeba mieć choćby częściowe przekonanie, że świat jest o mnie. Że to, co mam do powiedzenia, jest istotne. A ja wiem, że świat nie jest o mnie i lubię ten świat opowiadać w teatrze, ale nie mam pewności, że to ma jakiś sens. Dlatego mówię o tym, że moje życie jest pomyłone. Pomyłony autobus. Fajna nawet ta inna trasa, ale coraz mniej mam motywacji i zapału do reżyserowania. Lubię po prostu sobie być. Nie muszę tworzyć. Ja nic teraz nie muszę.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA